



NOWA KULTURA

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Cena 75 gr — 12 stron

Warszawa, 29 lipca 1951 r.

Nr 30 (70) Rok II

W OGDANSKU

Proletariusze wszystkich krajów łączcie się!

WŁODZIMIERZ SOKORSKI

Państwowe Nagrody Artystyczne

w roku 1951

Kształtowanie się kultury socjalistycznej jest nieustannym procesem walki nowego ze starym zarówno w płaszczyźnie ideologicznej, jak i warsztatowej. Jedność treści i formy nie jest formułą ani znakiem równania, lecz procesem twórczości, w którym treść ideowa jest głównym nurtem warunkującym oblicze, charakter i wyraz formalny dzieła artystycznego. Warunkującym, to nie znaczy utożsamiającym założenie ideowe z wyrazem formalnym, ponieważ usunięcie dysproporcji między wartością ideową dzieła, a jego doskonałością warsztatową niejednokrotnie stano i długotrwały nieraz proces pracy, walki i uporczywego wysiłku artysty. Nie wolno odrywać treści od warsztatu, lecz w żadnym równie wypadku nie wolno zaczynać rewolucji kulturalnej od rewolucji środków formalnych. Walkę o kulturę socjalistyczną zaczynamy — i toczymy ją nadal — od uporządkowania problemów ideologicznych. Jeżeli jednak socjalistyczna tematyka jest pierwszym i naczelnym kryterium oceny dzieł artystycznych — kryteria jakości w rozwiązywaniu problematyki ideologicznej w warsztacie formalnym stanowią konkretną miarę oceny wysiłków i osiągnięć literatury i sztuki w twórczej działalności artystycznej.

Wychodząc z tych założeń, tegoroczne Nagrody Państwowe wskazują na krystalizujący się z roku na rok kierunek twórczości sztuki Polskiej Ludowej. Oczywiście kryteria nagród opierają się w swoich podstawowych założeniach ideowych na ideologii klasy robotniczej i jej marksistowskiej partii. I w tym sensie są elementem stałym. Natomiast w sensie konkretnej oceny wartości dzieła, jego wartości społecznej i artystycznej, są kryteriami danego etapu, są kryteriami, które dyktują nam nie abstrakcyjne pojęty estetyzm, lecz dojrzałość społeczeństwa socjalistycznego i dojrzałość jego twórców.

W tych warunkach stanie się jasna różnica ocen w przyznawaniu nagród artystycznych w zeszłym roku i obecnym. Ta różnica jest wymierna wielkością drogi, którą przeszliśmy w walce o socjalizm i socjalistyczną sztukę.

Rok zeszły — to jeszcze w pierwszym rzędzie walka o temat, o problem, o konflikt socjalistyczny, to walka o socjalistyczną rzeczywistość w sztuce.

Rok obecny — to już walka także o trafne rozwiązanie założenia ideowego w dobrym warsztacie twórczym. To krok naprzód w walce o jedność treści i formy. To twórcze nowatorstwo ideowe i formalne. To walka o dobry warsztat realistyczny,

szlujący gętko i dokładnie wyrażaniu nowych treści naszego życia.

Rok zeszły — to program formalizmu, rozbięcie jego filozoficznego i społeczno-politycznego podłoża, zde-maskowanie jego imperialistycznych i reakcyjnych korzeni, ostre zaakcentowanie wyższości realistycznego warsztatu nad formalistycznym w walce o artystyczny obraz naszej rzeczywistości.

Rok obecny — to mocne wyprowadzenie realizmu socjalistycznego z ideowych założeń bitwy o socjalizm i z doświadczeń produkcyjnej sztuki Związku Radzieckiego oraz z własnego narodowego dorobku kulturalnego. To wyraźne nawiązanie do realistycznych tradycji narodowych, to walka o przewartościowanie postępowych idei minionych epok w nowych treściach naszej epoki. To zaakcentowanie problemu trwałych wartości w sztuce nie tylko od strony formalnej, lecz przede wszystkim ideowej, to wypunktowanie drogi rozwojowej sztuki polskiej jako swoistego odbicia, procesu walk klasowych w nadbudowie, to świadoma realizacja sztuki narodowej, socjalistycznej pod względem treści, a narodowej pod względem formy. To dalszy, konsekwentny program formalizmu i kosmopolityzmu dokonywany już na konkretnym warsztacie twórczym, w konkretnych własnych osiągnięciach, błędach i doświadczeniach.

Rok zeszły — to jeszcze pozycje artystyczne, które dopiero wskazywały kierunek walki, same często zaledwie znacząc drogę rozwoju; to nierzadko jeszcze schematyzm, odpsychologizowanie postaci, formalny prymitywizm i naiwność ideologiczna.

Rok obecny — to próba ustalenia kryteriów jakościowych, rozszerzających horyzont ideologiczny twórcy i odbiorcy, to walka o temat pokazowy w realnym człowieku, to prawda psychologiczna sylwetki bohatera, świadome zwalczanie prymitywizmu artystycznego i ideologicznego mętniactwa.

Rzecz prosta — kryteria kształtują ludzie, którzy też są tylko produktem etapu i też są tylko miarą jego dojrzałości. Stąd — możliwe błędy i potknięcia w ocenie. Lecz wytyczne tegorocznych Państwowych Nagród zarówno artystycznych, jak i naukowych, zostały zarysowane wyraźnie z perspektywą na okres najbliższy.

Przy tym — założeniem Komitetu Nagród Państwowych było pokazanie naszych osiągnięć bez szminki i bez fałszu — wydobycie bezspornych zdobyczy kulturalnych, wskazanie na twórcze doświadczenia, przy jednoczesnym obnażeniu braków i niedociągnięć.

W ten sposób przyznane nagrody nie tylko wskazują kierunek walki i nie tylko znaczą drogę osiągnięć. Jednocześnie uczą omijać mielizny, rafa i skrzywienia natury ideowej.

Wychodząc z tych założeń, należy ocenić tego rodzaju nagrody państwowe co Leopold Staff, Julian Tuwim w literaturze, Wojciech Brydziński w teatrze, Fitelberg w muzyce, Witkiewicz w architekturze, czy prof. Chybiński w naukach humanistycznych — jako świadome ukazanie na te najlepsze tradycje ostatniego półwiecza, które i dziś, w konkretnym dziele artystycznym, czy naukowym, stają się historyczną prawdą naszej epoki. Nagrody te wskazują na ciągłość idei postępu, które, przewartościowane w chwili obecnej w procesie walki nowego ze starym, wcielają się w nowe dzieła, zarówno wyżej wymienionych twórców, jak i artystów młodego pokolenia.

Wiersze Leopolda Staffa czy Juliana Tuwima, wypowiadające się po stronie walki o pokój i sprawiedliwość społeczną, są konsekwencją ich humanistycznej postawy całego życia, mimo wielu niekonsekwencji w poszczególnych pozycjach artystycznych. Naukowa twórczość prof. Chybińskiego, który wy dobył z przeszłości wielką tradycję muzyki polskiej od Jana z Szamotuł do Szymanowskiego, to nowe ukształtowanie bazy twórczej dla muzyki naszej epoki, wyrastającej z walki z kosmopolityzmem i formalizmem. Grzegorz Fitelberg — to dla współczesnej muzyki, uporczywa walka o prawo do życia polskiej, najlepszej, postępowej twórczości muzycznej z zalewem kosmopolitycznej nicości, to przywrócenie do życia Szarzyńskiego, Kurpińskiego, Elsnera, nie mówiąc już o wielkiej szkole twórczej interpretacji dzieła muzycznego za pulpitu dyrygenckiego. Podobnie Zelwerowicz, Brydziński — to najlepsze tradycje w polskim teatrze od Bogusławskiego do Kamińskiego, przeniesione na konkretną twórczość dni naszych.

W ten sposób czołowe nagrody wskazywały te trwałe wartości w polskiej sztuce, które i dziś są twórczo przetwarzane w żywym kształcie sztuki socjalistycznej.

Drugie i trzecie nagrody to ocena bieżącej twórczości ostatniego roku. Nagrody te już z pierwszego wejścia wskazują na silne i słabe miejsca w poszczególnych gałęziach naszej produkcji artystycznej.

Teatr i literatura w tym przeglądzie niewątpliwie wychodzą najsilniej i dają miarę poważnych i realnych artystycznych zdobyczy.

(Dokończenie na str. 2)

WIACZESŁAW MOŁOTOW W WARSZAWIE



Rozwój stosunków radziecko-polskich w ciągu ostatnich lat potwierdził w całej pełni wielkie znaczenie zasadniczego zwrotu w stosunkach między Związkiem Radzieckim a Polską, który nastąpił w wyniku zadzierżnietej między naszymi krajami przyjaźni i przymierza.

Od chwili, gdy Polska stała się państwem ludowo-demokratycznym i wyzwoliła się spod władzy obszarników i kapitalistów, między ZSRR a Polską ustaliły się trwałe przyjazne stosunki, stosunki braterskiej współpracy we wszystkich dziedzinach życia gospodarczego, kulturalnego i politycznego, jak również na arenie międzynarodowej.

Wyniki tej współpracy, nawet w ciągu ubiegłego krótkiego okresu, świadczą wyraźnie, iż stosunki te rozwijają się ku wzajemnej korzyści dla dobra naszych narodów.

Dawniej, w warunkach ustroju burżuazyjno-obszarniczego, ekonomika Polski znajdowała się w stanie upadku, przemysł często przeżywał wyniszczające kryzysy ze wszystkich klasami bezrobocia dla klasy robotniczej i inteligencji pracującej. Chłopsko zmuszone było pędzić nędzny żywot, nie mając żadnej nadziei na przyszłość. W swych stosunkach ekonomicznych z zagranicą Polska burżuazyjno-obszarnicza była całkowicie uzależniona od głównych krajów kapitalistycznych i niestabilizowanego rynku kapitalistycznego i zmierzając do swych antyradzieckich celów, nie chciała mieć nic wspólnego ze Związkiem Radzieckim. Doszło do tego, że obrót towarowy między Polską a Związkiem Radzieckim spadł w r. 1938 do zupełnie nikłych rozmiarów, co było wyraźną szkodą zważającą dla państwa polskiego.

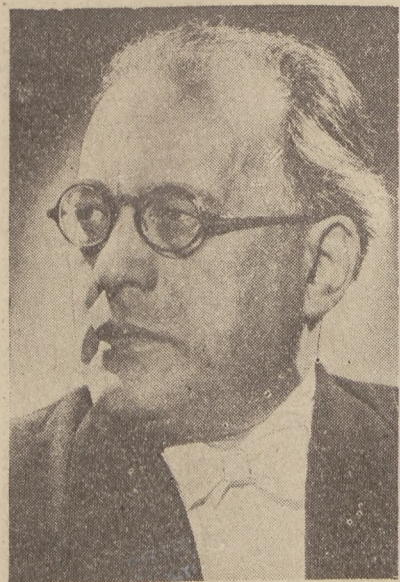
Obecnie, w warunkach ustroju ludowo-demokratycznego, Polska kroczy drogą szybkiego i stałego rozwoju ekonomicznego. Rozwija się przemysł, ciężki i lekki. Pomyślnie realizowana jest polityka socjalistycznego uprzemysłowienia kraju. Nieustannie wzrasta dobrobyt klasy robotniczej. Drogą rozwoju kroczy również rolnictwo. Na wsi zaczęły rozwijać się spółdzielnie produkcyjne, którym państwo udziela coraz poważniejszej pomocy w traktorach i w maszynach rolniczych, niezbędnych dla zorganizowania wielkiego rolnictwa spółdzielczego.

W porównaniu z poziomem przedwojennym, znacznie podniósł się dobrobyt chłopów. Coraz większe są możliwości zaopatrywania ludności miejskiej w żywność oraz przemysł w surowce rolnicze.

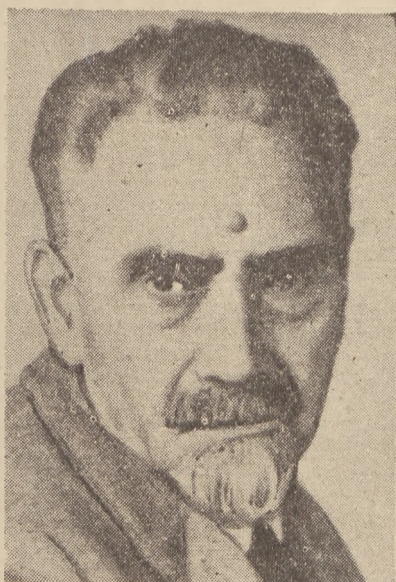
Dla całego rozwoju ekonomicznego Polski duże znaczenie ma fakt, że między Polską, Związkiem Radzieckim i krajami demokracji ludowej ustaliły się ścisłe więzy ekonomiczne. Więzy te pozwalają w sposób pewny planować rozwój gospodarki narodowej Polski opierając się o mocne i wciąż rosnące poparcie ze strony ZSRR i krajów demokracji ludowej. Wystarczy powiedzieć, że obrót towarowy między Polską a ZSRR urosł od chwili zakończenia wojny pięciokrotnie i sięga obecnie rozmiarów właściwych wielkim rozwiniętym gospodarczo państwom.

Współpraca między Polską a ZSRR rozwija się obecnie po wielu torach. Prócz stosunków handlowych, rozwija się współpraca w dziedzinie wymiany doświadczeń technicznych i produkcyjnych, zacieśniania się więzy kulturalne między naszymi krajami, między przedstawicielami nauki i sztuki, między organizacjami młodzieżowymi i kobiecymi. Ponieważ w Związku Radzieckim ukształtowało się już społeczeństwo socjalistyczne i istnieje bogate doświadczenie budownictwa socjalistycznego, rosnące zbliżenie między naszymi krajami ma szczególne znaczenie dla sukcesów budowy socjalizmu w Polsce.

(Z przemówienia na akademii w Państwowym Teatrze Polskim w 7-mą rocznicę ogłoszenia Manifestu PKWN).



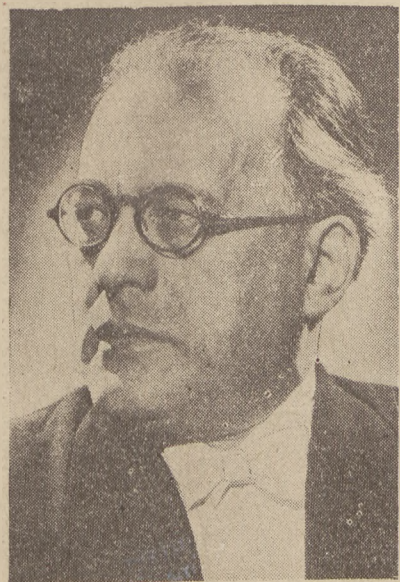
Grzegorz Fitelberg — nagroda I stopnia za całokształt działalności artystycznej i popularyzację muzyki polskiej w kraju i za granicą



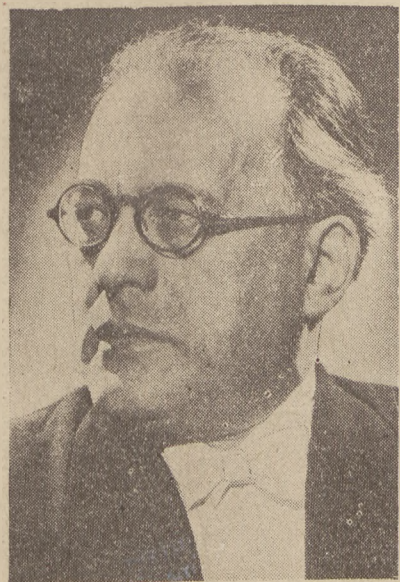
Jan Koszycy Witkiewicz, architekt — nagroda państwowa za całokształt pracy w dziedzinie konserwacji zabytków i projekt architektury gmachu SGPiS



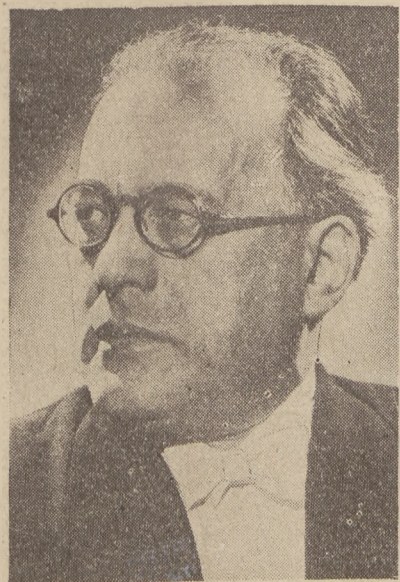
Tadeusz Sygietyński (Nagroda zespołowa I stopnia — Państwowy Zespół Pieśni i Tańca „Mazowsze”: Tadeusz Sygietyński, Eugeniusz Papliński, Mira Zimińska oraz Zespół Artystyczny) — za wybitne osiągnięcia twórcze w dziedzinie polskiego tańca ludowego i polskiej pieśni ludowej



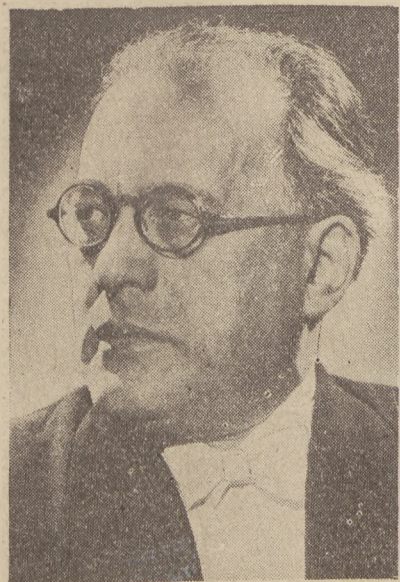
Prof. dr Adolf Chybiński — nagroda I stopnia w dziedzinie nauki za prace nad muzykologią i historią muzyki w Polsce, które to prace dają podstawy do walki o realizm w muzyce polskiej



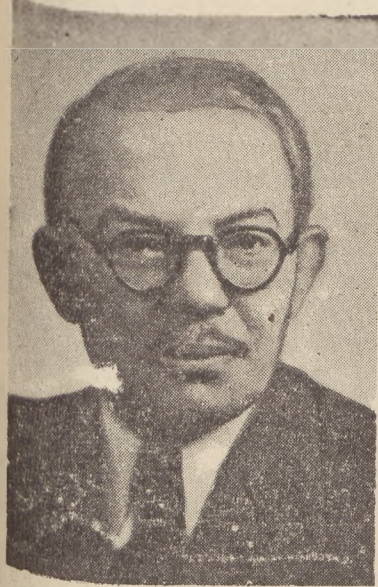
Wojciech Brydziński — nagroda I stopnia za całokształt działalności artystycznej, ze szczególnym uwzględnieniem pracy scenicznej w Polsce Ludowej



Leopold Staff — nagroda I stopnia za całokształt twórczości poetyckiej



Julian Tuwim — nagroda I stopnia za twórczość poetycką i przekładową



Prof. inż.-arch. Zdzisław Maczeński — nagroda państwowa za całokształt działalności



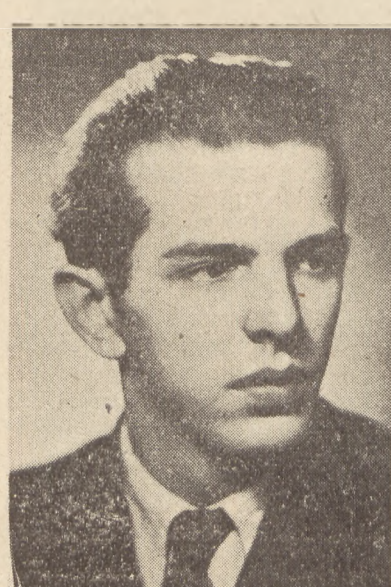
Prof. dr Adam Schaff — nagroda państwowa za dotychczasowy dorobek naukowy, ze szczególnym uwzględnieniem pracy pt. „Narodzin i rozwój filozofii marksistowskiej”



Kazimierz Sikorski — kier. muzyczny filmu „Warszawska premiera”. (Nagroda zespołowa: K. Sikorski, Jan Rybkowski, Jan Koecher, St. Różewicz)



Gustaw Morcinek — nagroda państwowa za powieść pt. „Pokład Joanny”



Jerzy Broszkiewicz — nagroda państwowa za powieść o Chopinie pt. „Kształt miłości”



Janina Broniewska — nagroda państwowa za powieść dla młodzieży pt. „Ogniwo”

TADEUSZ KONWICKI

NISKIE I WYSOKIE NAPIĘCIE

Z CYKLU: „BUDUJEMY POLSKĄ SOCJALISTYCZNĄ”

Niezbyt daleko Katowic, sześć kilometrów na południe od Szczakowej, na boczku płaskiego, ale szeregowego wzniesienia, przysiadło miasteczko Jaworzno. Drzewa tu rosną ciemne, jakby odymione, na okolicznych płaskich faluje rzadkie, wątłe zboże. Szara, popielasta ziemia pozornie tylko wydaje się uboga, w jej wnętrzu kryje się bowiem wielkie bogactwo: węgiel. Nad miasteczkiem sterczy kilka szyków kopalnianych. Na tle sennego, jakby zadymionego, nieba kręcą się szybko szprychy kołowrotów. Za rozrzuconymi wśród małych poletek domkami górniczymi zaczyna się osnowy las. Słuszniej byłoby go raczej nazwać zagajnikiem. Rzadkie, cienutkie sosenki rosną nieopodal na jałowej ziemi. Igły wie jest czarne, jakby węgiel, wędrując z sokami, przenika każdą gałąź drzewa, osiadał suchą, sypką warstwą na korze, jakby pieczęcie korony drzew walczyć bezskutecznie z wspaniałym węglem tracąc swoją zielen. Poszycie lasu jest bogatsze. Panoszą się tu zieleń czernie wdzierających się nawet na wąskie płaszczyste drogi, które w wielu kierunkach przecinają jaworzniński las. Z szarej pleśni lasu wyrasta olbrzymi cementowy komin, a bardziej w lewo — cienutka koronka metalowej konstrukcji chłodni. Tu budująca się elektrownia jaworznińska, jedna z największych siłowni w Polsce.

Zapuszczając się śmiało w jaworznińską knieję, tracąc z oczu komin elektrowni. Ale za to słysząc bliskość budowy, czuje się jej obecność. Między cienutkimi pniami sosenek przeciska się lokomotywa ciągnąc za sobą parę wagonów ze żw. Gęsta, biała para syci się grubymi stojami na powietrzu. Głuchą dzwoną po lesie uderzenia młotków o stalowe przewody chłodni, ktoś wysokim głosem śpiewa góralską piosenkę.

Wreszcie jestem już na terenie budowy. Ciepły wiatr podnosi z prowizorycznej drogi tumany kurzu. Głosem przelotu, gorąco. Siadam więc na zruconych obok drogi belkach i paląc papierosa zastanawiam się, od czego zacząć. Przy głównym budynku elektrowni kręcą się murarze wśród białych od węgla oszalańców. Dobrze, że już wreszcie tu jestem. Ubiegłem koleżanów po piórze. Odkrywam, że tak dobrze — Jaworzno. Ale od czego zacząć? Leniwie poprawiam się na belce. Jeszcze pięć minut odpocznę.

Droga od kierownictwa nadchodzą niska, przysadzista mężczyzna w szarym, mocno wytartym ubraniu. Onok kroczy kobieta wymachując skózaną torbką. Mężczyzna w szarym ubraniu — to sądząc z opisu dozorcy — sekretarz podstawowej organizacji partyjnej. A kobieta? Mam złe przeczucie.

Podnoszę się z belek i zatrzymuję przechodzących.

Tak i tak — powiadam — jestem z Warszawy. Na reportaż.

— A to dobrze — uśmiecha się sekretarz Bolesław Kof. — Pozwólcie — wskazuje właścicielkę skórzanej torby — to też koleżanka z Warszawy. Dziennikarka. Będzie pisać reportaż o Jaworznie. Była już u nas miesiąc temu.

Czuje, że twarz mi się wydłuża. Z misji Kolumba — okazuje się — trzeba zrezygnować.

Ruszyliśmy więc na zwiedzanie budowy, zagarniając, po drodze, że Tomaszewicz z dyrekcji Zjednoczenia Energetycznego Okręgu Południowego. Po drodze dyskretnie wypytuję sekretarza:

— Pisanie już o Jaworznie?

— A jakże. Były już reportaż o naszej budowie. Bardzo często przyjeżdżają do nas towarzysze korespondenci. Dziesięć dni temu byli tu trzej poeci. Wczoraj zaś...

Stomy już na progu budynku głównego. Podchodzi do nas inżynier, a sekretarz przywołuje kilka przodujących murarzy. Zaczynamy rozmowę. Szybko orientuję się, że dziennikarz nie jest tu nowością. Ludzie ustawiają się trochę jak do fotografii. Twarze uśmiechnięte. Inżynier wyrecza nas grzecznie:

— Zawartka, powiedzcie kolegom dziennikarzom, jak wam się pracuje.

Murarz przestępuje z nogi na nogę uśmiechając się z zażenowaniem.

— Dobrze się pracuje, owszem, niczego sobie.

— Z trudnościami jak sobie radzicie? — pyta koleżanka otwierając notes.

— Ano, przezwyciężamy — odpowiada ktoś rażym głosem. Koleżanka notuje.

Uśmiechnięty sekretarz pyta:

— Co, pójdziemy dalej?

— Jeśli wolno — wtrącam się — to poproszę o kilka informacji ogólnych, dotyczących elektrowni.

To jest już resort inż. Tomaszewicza. Wspinamy się po schodach na szczyt budynku głównego. W dół terkoczą maszyny do przyrządzania zaprawy. Z boku błyska fioletowe, oślepiające światło i czerwone ziarna roztopionego żelaza sypią się spod kołb spawaczy, pracujących przy konstrukcji dachu nad budynkiem. Jak okiem sięgnąć, wszędzie uwijają się ludzie, pętrzą się materiały budowlane, a po drogach, grzejąc w piachu, brną ciągniki i auta.

Przed nami leży jedna z największych, w najbliższej przyszłości, elektrowni w Polsce. Zajmuje — bagatelka! — 120 ha terenu. Jej prąd pobiegnie przewodami wysokiego napięcia do Warszawy i Łodzi. Nie dosyć jeszcze tego: prąd jaworzniński elektrowni dotrze na wieś, pozwoli na szeroką elektryfikację gospodarstw rolnych. Po

uruchomieniu tej siłowni nasza produkcja prądu elektrycznego wzrośnie o 20 proc. Najważniejszą zaletą tej życiodajnej siły będzie jej taniość, ponieważ elektrownia ruszy opalana węglem z najbliższych okolic. Węgiel z okolic Jaworzna jest niskogatunkowy, a jego łamliwość utrudnia transport. Natomiast tu na miejscu znajdzie doskonałe zastosowanie. Przemelony w specjalnym młynie siłowni pójdzie na ruszt pieców i tu spali się doszczętnie. Każda kaloria zostanie wykorzystana, nie zmarnuje się ani jedna drobina węgla. Specjalne kanały z bieżącą wodą odprowadzają będą popiół spod rusztów daleko poza elektrownię. Zamiast kruchego, nieekonomicznego węgla — Jaworzno da tanią energię elektryczną.

Pisząc: Jaworzno — myśli: ludzie z Jaworzna. Prąd wyprodukowany przez jaworznińskich robotników oświecił domy na wsi, uruchomił maszyny rolnicze, ułatwił pracę dziesiątkom tysięcy ludzi. Ten sam prąd zastąpi człowieka przy najcięższej robocie w niejednym zakładzie pracy. Ten sam człowiek jest otoczony największą troską w Jaworznie, jego wygodę i zdrowie zabezpieczają urządzenia przyszłej elektrowni, która będzie całkowicie zmechanizowana. Przy budynku głównym buduje się równocześnie wentylatornie do oczyszczania powietrza w siłowni. Maszyny, które zastąpią człowieka w najcięższej pracy, dostarczy Związek Radziecki. Przyjdą stamtąd do Jaworzna turbiny z całym wyposażeniem, kotły, transportery do węgla, pompy, transformatory. Już dziś budowę prowadzi się na podstawie radzieckiej dokumentacji technicznej. Przyjeżdżają ze Związku Radzieckiego najcenniejsza pomoc: radzieccy specjaliści, którzy pracując przy montażu wyposażenia elektrowni będą jednocześnie szkolili nasze młode kadry, przeznaczone do obsługi i kierowania wielką siłownią.

Ukończona jest już budowa rurociągu, który dostarczy elektrowni wodę z Przemszy. Wszystkie obiekty elektrowni są budowane jednocześnie. Główny budynek, na szczycie którego słuchamy opowiadania inż. Tomaszewicza, składający się z pięciu części (przybudówki, maszynowni, kotłowni, bunkrowni i wentylatorni), będzie gotów już w roku przyszłym. Ale to jeszcze nie wszystko. Dalsze dwie części elektrowni, dwukrotnie większe od pierwszej części budynku głównego, zostaną wybudowane w latach następnych. Obok murarze wyciągają już prawie pod dach nastawnie elektrowni. Po drugiej stronie budynku głównego wykarczany jest w stanie surowym łamacz węgla. Przy elektrowni pracują już obiekty pomocnicze, prefabrykatownie, dostarczające budowie beton i zaprawę.

Dobre sobie miejsce wybrał inżynier do tej konferencji prasowej. Widać całą budowę jak na dłoni. Daleko przed nami czernieją lasy Zerkam w dół z tej wysokości. Można zawrotu głowy dostać. A tu jeszcze te liczby, perspektywy, przewidywania, plany. Obaj przewodnicy, inżynier i sekretarz, uśmiechają się radoś z wrażenia. Na olbrzymim filarze żelaznym oarskie czerwonymi iskrami zetempowski przewodnik pracy, Kazimierz Łagan.

Schodzimy na dół. Nad planami z rosyjskimi napisami pochylają się robotnicy. Między nimi leży na deskach inż. Hoffman. Omawiają robotę. Koleżanka wydaje bliżej nieokreślony dźwięk zdumienia.

— Czy stale omawiacie kolektywnie najbliższe zadania?

Inżynier Hoffman podnosi się z desek i chmurno, bez ciekawości, odpowiada:

— Owszem. Stale. To ułatwia robotę. Każdy robotnik powinien znać dokładnie swoje zadanie.

— No, ale pracuje się wam dobrze? — nalegała przewodnica.

— Dobrze — mówi inżynier. Koleżanka szybko zapisuje rozmowę w notesie.

Przechodzimy przez płaszczyzną drogę do łamacza węgla. Na rusztowaniach murarze zgłębi nad murem kładą cegły. Tegie muskuli chodzą miarowo pod opaloną skórą. Mimo chodem zerkają na zakurzoną delegację. Ktoś z przewodników wsadza głowę w chłodną, ciemną czeluszę prowizorycznego baraku.

— Warcholek!

Mrużąc oczy przed światłem wychodzi na próg młody mężczyzna w rozpiętej koszuli.

— Towarzysze August Warcholek — przedstawia go sekretarz. — O powiedzcie kolegom z gazet o tym, jak wam idzie robota.

Warcholek uśmiecha się niezdecydowanie.

— Nie wiem, co mam mówić.

— Wykonacie na czas obiekt? — znajduje się życzliwy sfluier.

— Postaramy się. Chcemy go oddać w stanie surowym na święto 22 lipca.

— Warcholek jest kierownikiem budowy obiektu, z awansu — rekomenduje inżynier.

Warcholek, uśmiechając się niepewnie, patrzy na notes koleżanki. W nagłej ciszy słychać wyraźnie skrzyp ołówka.

— Mam dwadzieścia pięć lat. Jestem już starszym majstrem. Tu na budowie awansowałem. Takie mam zamiłowanie do budowania, że, wiecie, tego, no uczyć się dalej. Korespondencyjnie.

Przewodniczący spogląda na nas przeciągle, z dumą. Starają się z tru-

dem ukryć uśmiechy. Warcholek kręci się w miejscu najwyraźniej skrepowany rozmową.

— Mój rówieśnik — cieszy się sekretarz. — No, pójdziemy chyba dalej.

Zagladamy jeszcze do nastawni. Przewodnicy są zadowoleni. Dziennikarze notują, ludzie podają skwapliwie nazwiska. Brak tylko zbiorowej fotografii.

— Pracują tu murarze systemem dwójkowym. To skutek agitacji inż. Bogubowicza. Poznać go niedługo — mówi sekretarz.

Słońce świeci wiosennie, ciepło, a ja nie mam spokoju. Zapisalem na kartce wiele nazwisk, osobno trochę cyfr i mimo to gdzieś tam w reporterskim sercu odczuwam niepokój. Korzystając z okazji pytam ostrożnie sekretarza:

— Czy możecie opowiedzieć nam o początkach budowy? Pewnie od razu tak dobrze nie było. To jest ważne. Interesuje mnie kilka spraw...

— Mamy grupy partyjne w różnych gałęziach produkcji — powiada szybko sekretarz. — Poza tym dwudziestu pięciu agitatorów stale pracuje wśród ludzi. Zaraz znajdziemy do mnie, w sam raz dobrze trafił. Sporządziłem sprawozdanie miesięczne, wszystko tam znajdziecie napisane.

W drodze do brygad montażowych sekretarz opowiada:

— Odbywamy otwarte zebrania partyjne, na których razem z inżynierami, technikami i majstrami dyskutujemy o trudnościach budowy. Na tych zebraniach uchwalamy konkretne zadania: to i to przyspieszyć, to i to usprawnić, czy naprawić. Od razu konkretnych ludzi zobowiązujemy. Na takich zebraniach kontroluje się wykonanie zadań.

— A robota polityczna, uświadamiająca?

— Organizujemy kursy społecznych inspektorów pracy, mężów zaufania 27 ludzi ukończyło z wynikiem dobrym kurs murarski, 25 ludzi — kurs ciesielski, 24 — kurs spawaczy.

Sekretarz patrzy z boku bacznie, czy zapisuję wszystko jak należy. Przyłącza się do nas członek zarządu koła ZMP.

Rozmawiamy chwilę z młodzieżową brygadą montażową Kubickiego, która stale przekracza normę. Na Pierwszego Maja młodzieżowcy, wykonali dodatkowo wieść do górcia rur. Teraz w ramach zobowiązania dla uczczenia III Zlotu Młodych Bojowników o Pokój postanowili sporządzić wiele potrzebnych narzędzi.

— No, a teraz do Dubiela — powiada delegat ZMP.

Kłusujemy więc po wyboistym oolu. Przeskakujemy przez sterty rur, a delegat już z daleka woła:

— Dubiel, Dubiel!

Z przysadzistego, parterowego budynku wychodzi Dubiel. Na rękach wiszą białe płatki węgla.

— 600 proc. wykonują stale — mówi delegat. — Sami zetempowcy.

Zagladamy przez puste okna do wnętrza budynku, gdzie pracuje przy tynkowaniu murarska brygada Dubiela. W rogu sporej sali pracuje przygarbiony trochę murarz. Spod czapki wyglądają kępki dobre już siwawych włosów.

— Z waszej zetempowskiej brygady? — pytam Dubiela pokazując oczami szpakowatego młodzieńca.

Dubiel śmieje się:

— To Głowacki. Tak, z naszej brygady. Zaczął kiedyś przypadkowo z nami pracować, a teraz nie chce odejść.

— Kłopot z nim mamy — wtrąca się delegat zarządu. — Pracuje człowiek, stara się, jak może. Nie raz mu powiadamy: „Towarzyszu Głowacki, wiesz, że tak powiemy wiekiem to wy do młodzieżowej brygady nie pasujecie. Możebyście

(Dokończenie na str. 4-iej)



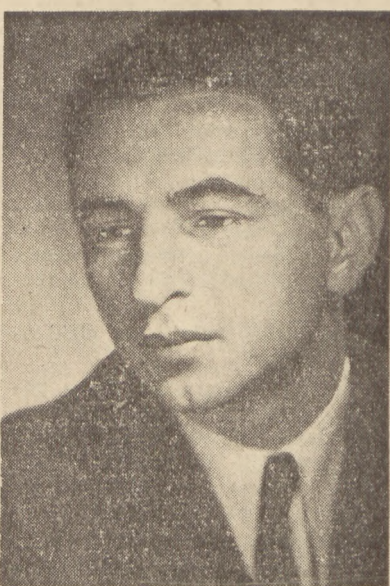
Anna Kowalska — nagroda państwowa za powieść pt. „Wielka próba”



Ryszard Małuszewski — nagroda państwowa za zbiór krytyk pt. „Literatura na przełomie”



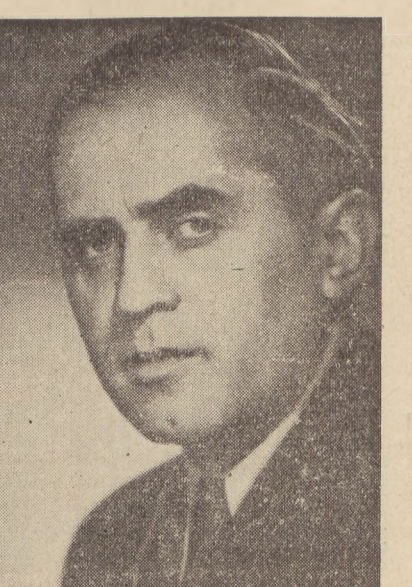
Aleksander Schor-Rylski — nagroda państwowa za powieść pt. „Węgiel”



Lesław Bartelski — nagroda państwowa za powieść pt. „Ludzie z rzeki”



Prof. dr Stefan Żółkiewski



Prof. dr Kazimierz Wyka



Prof. dr Jan Kott



Prof. dr Kazimierz Budzyk

Państwowa nagroda zespołowa: Instytut Badań Literackich — w osobach: prof. dr Stefan Żółkiewski, prof. dr Kazimierz Wyka, prof. dr Kazimierz Budzyk, prof. dr Jan Kott, mgr Henryk Markiewicz, prof. dr Tadeusz Malski — za zespołową pracę przy wprowadzaniu marksistowskich metod w badaniach literaturoznawczych.



Państwowa nagroda zespołowa: Adam Tarn — za sztukę pt. „Zwykła sprawa”, grana w Państwowym Teatrze Współczesnym w Warszawie, Erwin Axer — za inscenizację i reżyserię tejże sztuki.

Państwowa nagroda zespołowa: zespół Państwowego Teatru Polskiego w Warszawie za wystawienie sztuki Gribojedowa pt. „Mądremu błąda”. Bronisław Dąbrowski — za inscenizację i reżyserię, Otto Axer — za scenografię, Jan Kreczmar — za rolę Czackiego, Jan Kurnakowicz — za rolę Famusowa.

ADOLF SOWIŃSKI

Powieść o powstaniu Spartakusa

W historii walk wyzwolenieczych ludu pracującego imię Spartakusa jest imieniem bohatera i wielkiego wodza. Ten stojący poza nawiasem społeczeństwa gladiatora wzniecił największe w całej starożytności powstanie niewolników, przyprowadzając rzymskich posiadaczy niewolników o takie przerażenie, jakiego doznał raz tylko przedtem: gdy Hannibal stał u bram stolicy ówczesnego świata. Przez kilka lat z rzędu panował nad górami Italii, przechodząc przez kraj wzdłuż, od najdalejszego cypła południowego aż do nizin nadpadajskiej, zorganizował zbiegłych niewolników w zdyscyplinowaną armię, odnosząc wielkie zwycięstwa i wydierał się z zasadzek.

Był człowiekiem genialnym, ogniskując w sobie umiejętności stratega i szlachetność płomiennego przywódcy nowych sił społecznych. U historyków rzymskich znajdujemy dość bezstronne świadectwa, które potwierdzają ten pogląd. Plutarch mówi, że Spartakus „bardziej przypominał wykształconego Hellena niż barbarzyńcę”, co stanowi dowód, że nie obca mu była ówczesna kultura ludzka. Sallustiusz nazywa go wprost człowiekiem o wielkiej sile ciała i ducha. To, czego dokonał, daje najpełniejszy i najwspanialszy obraz jego biografii. „Wielki dowódca... szlachetny charakter, prawdziwy przedstawiciel antycznego proletariatu” — mówi o nim Marks. Lenin w swej pracy „O państwie” pisze z kolei tak: „Spartakus był mniej więcej dwa tysiące lat temu jednym z najwybitniejszych bohaterów jednego z największych powstań niewolników. W ciągu szeregu lat wszechpotężne, zdawałoby się, imperium rzymskie, oparte całkowicie na niewolnictwie, przeżywało wstrząsy i ciosy, zadawane przez obrzmienie powstania niewolników, którzy utworzywszy obrzmienie armie uzbili się i skupili pod wodzą Spartakusa”.

Spartakus był z pochodzenia wolnym Trakiem. Przybył do Italii jako jeniec wojenny i trafił do szkoły gladiatorów w Kapui, gdzie został nauczycielem fechtunku. Gdy kapuńscy gladiatorzy — przeznaczeni zostali na śmierć w krwawych zapasach cyrkowych, niewolnicy stanęli na jego czele, uciekli z niewolnictwa i zawiązali spisek. Spartakus stanął na jego czele, uciekł z siedemdziesięcioma innymi gladiatorami i obwarował się w zastępach podówczas kraterze Wezuwiusza (r. 74 przed n. e.). Tak rozpoczęły się początki powstania, które porwał następnie prawie całą klasę niewolniczą i wielką część wolnego proletariatu wiejskiego (tak zwanych „ludzi wolnych z pola”), ogarnęło wszelkie elementy etniczne ściągnięte przez Rzym do Italii wśród niezliczonych podobój i skupiło w swych szeregach 120.000 żołnierzy. Wygrane bitwy nie przyniosły w rezultacie zwycięstwa rewolucji niewolniczej. W obozie powstańczym panowała niezgoda, będąca między innymi skutkiem wadliwej organizacji i róż-

norodnego składu społecznego armii. Spartakus zamierzał wyprzedać powstańców przez Alpy z Italii, w czym nie wszyscy byli zainteresowani, w szczególności zaś „ludzie wolni z pola”. Zresztą ustrój niewolniczy był jeszcze silny. Nie istniały dostateczne podstawy zwycięstwa tego rodzaju rewolucji. To też skończyła się klęska. Sam Spartakus padł w boju (r. 74 przed n. e.). Klęska powstania pociągnęła za sobą większą konsolidację arystokracji (nobilitas) z rycerzami (equites).

Tak w głównych zarysach naświetla te sprawy radziecki historyk N. A. Maszkin w swej „Historii starożytnego Rzymu”. Powstanie Spartakusa pozostało w dziejach ruchów społeczno-wyzwoleniczych piękny i bohaterski wydarzenie, które nie doprowadziło do zasadniczych reform systemu niewolniczego, chociaż niepokoję trwały jeszcze długo. Najświetlejsi ludzie epoki bronili wolności i praworządności z pozycji jak najdalej od uznania praw zbuntowanych niewolników. Republikanin Ciceron, który w rok po śmierci Spartakusa wygłosił swe siedem mów przeciwko sycylijskiemu pretorowi Werresowi, bolał nad upadkiem starodawnych obyczajów, dostrzegł i gromił zdrajców, ale nie interesował się obdzieranymi, jeżeli nie byli obywatelami rzymskimi albo co najmniej ludźmi wolnymi.

O powstaniu niewolników rzymskich w latach 74 — 71 przed n. e. napisała ciekawą i trafną powieść dla młodzieży Halina Rudnicka. Książkę tę, noszącą tytuł „Uczniowie Spartakusa” (*), odznaczoną nagrodą państwową, należy powitać z prawdziwym uznaniem. Odczuwamy wielki brak nowych naświetleń historycznych w beletrystyce polskiej, odczuwamy wielki brak powieści historycznej, którą by z czystym sumieniem, bez rozległego komentarza światopoglądowego, można dać do rąk młodzieży. Posiadamy natomiast wiele niebezpiecznie poczytnych, klasowo fałszywych powieści historycznych, albowiem beletrystyka burżuazyjna szczególnie upodobała sobie tę dziedzicę Książki Rudnickiej stanowi niewątpliwie dopiero pierwsze z ogniw całego cyklu, który jest nam potrzebny, aby usunąć w cień wiele niedobrych i szkodliwych powieści młodzieżowych o dawnych latach.

Jest to książka napisana żywo, interesująco, nieomal sensacyjnie. Szlachetna tendencja społeczna, która ją nasyca, idzie drogami fabuły powieściowej i nigdzie nie zbacza na manowce suchej dydaktyki. Zagadnienia walki klas w ustroju niewolniczym widzimy od strony wydarzeń życiowych i w tenże sam sposób podane są czytelnikowi realia historyczne.

W dzieje pochodów, zwycięstw i klęsk Spartakusa Rudnicka wplata umiejętnie przygody kilku nastoletniego chłopca greckiego, Kaliasa, porwanego przez piratów i zaprzadanego wraz z matką w nie-

*) Halina Rudnicka: „Uczniowie Spartakusa”, Str. 294, „Nasza Księgarnia”, Warszawa 1951.

wolę. Kalias przechodzi typowe koleje losu niewolnika rzymskiego i przeważnie jego bystrzymi oczami widzimy świat posiadaczy niewolników. Te postacie wiernego giermka Spartakusa obdarzyła Rudnicka heroizmem tak prostym i naturalnym jak zdrowie młodości. Kalias pozostaje jednocześnie autorem stworzyć — wbrew tragicznej klęsce powstania — zakończenie optymistyczne. Kalias, bowiem ocalał wraz ze starym Sotionem, który był Tyrteuszem walczących powstańców. Ocalała w ten sposób do dalszej walki młoda siła i ocalała tradycja walki w bojowej poezji starego pieśniarza, weterana sycylijskich powstań niewolniczych.

Tym wydzwiekiem kończy się ostatni rozdział książki, przemawiając do wyobraźni czytelnika marnieniem o wieku złotym, który zrodzi się z walki. Tak, pozostając pod względem rzeczowym ściśle w ramach starożytności, ukazała Rudnicka dalsze perspektywy historii i jej zmagani społecznych.

Trzeba przyznać, że jasne i zrozumiałe przeprowadzenie tych zagadnień w powieści młodzieżowej, która ma jednocześnie porwać czytelnika swą treścią fabularną, było rzeczą nader trudną. W szczególności zaś należy zapisać autorce na dobro fakt, że uniknęła wszelkich wyobrażeń obcych danej epoce, wszelkich pojęć i poglądów wynikających dopiero z dalszego biegu dziejów. Rozporządzając wiedzą historyczną i posiadając przygotowanie teoretyczne, autorka potrafiła zachować umiar i podporządkować ideologię dialektycznemu rozwojowi historii. Stwarzając postacie heroicznych i świadomych bojowników antycznego proletariatu, nie wymagała od nich prekursorstwa na dwa tysiące lat, uniknęła więc groźnych błędów wulgarizacji. Budując z kolei powieść o doskonałej, konsekwentnej, lecz pełnej niespodzianek fabule, dała dowód swych nieprzeciętnych możliwości pisarskich w zakresie powieści dla młodzieży.

Inna sprawa, że ta powieść wykazuje pewien zasadniczy niedostatek wynikający może z nadmiernej troski o łatwość i potoczność fabuły, poza którą widzimy tylko gęstą mgłę. Ginie prawie zupełnie to politycznych wydarzeń epoki, które — niezależnie od doniosłości powstania Spartakusa dla tradycji ruchów społeczno-wyzwoleniczych — tworzyły historię Rzymu i prowadziły prostą drogą do założenia i ugruntowania pryncypatu. Nie widzimy historii, która miała bezpośredni ciąg dalszy.

Niedoświadczonemu czytelnikowi młodzieżowemu trudno będzie niewątpliwie umiejscowić sobie rzecz w siedemdziesiątych latach pierwszego stulecia przed nową erą i zsynchronizować ją sobie z innymi faktami. Nie widzimy nawet w maksymalnym skrócie obrazu niepokojów nie tylko niewolniczych, które wstrząsały Rzymem po pierwszej wojnie domowej, po czasach Mariusza i Sulla, a z drugiej strony nie widzimy potęgi Rzymu, która była zarazem potęgą ustroju niewolniczego. Słowem, nie widzimy tej historii, która długo jeszcze miała pozostać decydującą historią polityczną imperium.

O ile autorka jest silna w beletrystycznym przedstawieniu codziennych realiów życia starożytnego, o tyle szczyty życia politycznego imperium widzi lub ukazuje tylko w uproszczonym spojrzeniu od dołu. Niedostateczne uwypuklenie potęgi ustroju niewolniczego czyni klęskę powstania jedynie klęską militarną, podczas gdy w rzeczywistości klęska ta była nieuniknionym następstwem ekonomicznej i politycznej siły zjednoczonych w poczuciu wspólnego interesu i wspólnego niebezpieczeństwa grup posiadaczy niewolników. Powstanie Spartakusa upadło, bo w ówczesnych warunkach nie było obiektywnych podstaw do jego zwycięstwa. W tej dziedzinie doskonała powieściowo książka Rudnickiej daje obraz niepełny.

Adolf Sowiński



Bohdan Korzeniewski



Aleksander Zelwerowicz



Zofia Małynicz



Leokadia Pancewicz-Leszczynska



Władysław Sheybal



Halina Mikołajska

KAZIMIERZ MAJEWSKI

Historia starożytnego Rzymu

Nakładem „Książki i Wiedzy” ukazała się na półkach księgarskich w przekładzie polskim starannie i estetycznie wydana praca N. A. Maszkin, niedawno zmarłego profesora historii starożytnej Uniwersytetu Moskiewskiego, pt. „Historia Starożytnego Rzymu” (Warszawa 1950, 853 stron z 246 rycinami w tekście).

Po ukazaniu się pierwszego rosyjskiego wydania tej niezmiernie wartościowej książki, która wybitnego radzieckiego historyka, tak pisał o niej M. E. Siergiejenko („Wiestnik Akademii Nauk SSSR”, 1948, zes. 7, str. 115): „Jeżeli opracowanie podręcznika uniwersyteckiego należy w ogóle do rzędu zadań trudniejszych (i zaszczytniejszych), to trudności te potęgają się dla historyka pracującego nad podręcznikiem historii starożytnej, tym bardziej, że zwraca się on do studentów pierwszego roku, mających o historii starożytnej mętne wyobrażenia”.

Tymi uwagami, aktualnymi w pełni także u nas, należy zasymilować ukazanie się polskiego przekładu podręcznika uniwersyteckiego do historii starożytnej Rzymu. Do historii — na to należy zwrócić szczególną uwagę. Pod tym względem bowiem panują u nas poważne nieporozumienia, i to nie tylko wśród czytelników. Dla wielu ludzi historia — to chronologicznie uszeregowane fakty i nazwy. Jakże niedawno jeszcze młodzież studiująca rozumiała przez historię pewną ilość dat nazw miejscowości, cesarzy, królów i wodzów! Iluż pracowników naukowych w dziedzinie humanistyki dziś jeszcze jest zdania, że ujmując w swojej pracy badawczej zagadnienia i fakty historyczne, ponieważ zestawiają je w porządku chronologicznym i ewentualnie — jeżeli mają do czynienia z faktami z zakresu histo-

ki czy literatury — „podmalowują to historyczne”. Burżuazyjna nauka historii — wysuwając postulat „obiektywizmu naukowego”, przemilczała na ogół te poważne niedomagania metodologiczne. Nauczanie zaś historii w szkołach burżuazyjnych, o ile nie polegało na świadomym przekręcaniu i tendencyjnym przedstawianiu faktów i problemów (szkoła faszystowska i hitlerowska), to w najlepszym razie ograniczało się do suchej faktografii. Stan taki, jak wiadomo, istniał przez pewien okres czasu w wielu naszych szkołach średnich, gdzie obowiązującym podręcznikiem historii były trzy tomyki Wincentego Zakrzewskiego.

Z takim pojmowaniem historii zerwała szkoła radziecka, wysuwając doniosły postulat dydaktyczny myślenia historycznego w oparciu o teorię materializmu dialektycznego i historycznego. Student uniwersytetu względnie instytutu pedagogicznego w Związku Radzieckim, wysłuchawszy wykładów z określonego czasowo i terytorialnie wycinka historii, powinien nie tylko przyswoić sobie pewną sumę wiedzy rzeczowej, ale także zrozumieć istotny sens procesu historycznego, zasadnicze nurty rozwojowe w dziedzinie społecznej, gospodarczej, politycznej i kulturalnej, powinien poznać specyficzne cechy formacji społecznej danego narodu czy ludów danego kraju, powinien starać się samodzielnie wyjaśniać procesy historycznego, a w ostatecznym wyniku nauczyć się myślenia historycznego. Osiągnąć to winien nie tylko dla zaspokojenia czystej ciekawości poznawczej, ale także dla ugruntowania w swojej świadomości naukowego poglądu na prawidłowy rozwój świata i ludzkości, dla zrozumienia sensu dzisiejszych przemian histo-

rycznych i dla aktywniejszej współpracy w zbiorowym wysiłku budowy socjalizmu.

Zdajemy sobie sprawę, jaką przebiegać między tymi dwoma kierunkami dydaktycznymi, reprezentującymi bezideowość lub pseudo-ideowość szkoły burżuazyjnej z jednej strony oraz przepełnioną umiłowaniem ojczyzny i ludzkości socjalistyczną ideologią szkoły radzieckiej. Zdajemy sobie też sprawę, jak doniosłą rolę ideowo-wychowawczą w społeczeństwie kroczącym ku socjalizmowi może odegrać właściwe nauczanie historii w szkole średniej, na uniwersytetach i w instytucjach pedagogicznych. Do tego celu musimy przygotować zarówno kadry nauczycieli i wykładowców jak też podręczniki. O ile podręczniki do historii starożytnej przystosowane będą ramowo do potrzeb dzisiejszej szkoły polskiej już się ukazują, o tyle brak nam zupełnie tego rodzaju podręczników na poziomie uniwersyteckim.

Dlatego też przede wszystkim młodzież uniwersytecką i studentów pedagogicznych powita z zadowoleniem ukazanie się w przekładzie polskim podręcznika profesora N. A. Maszkin „Historia Starożytnego Rzymu”.

W książce tej znajdzie czytelnik wprowadzenie w historię Rzymu w wszystkich jej przejawach i wszystkich okresach. Pozna kraj i ludzi, sprawy gospodarcze i społeczne, rozumie istotę formacji niewolniczej i jej antagonistyczną strukturę zmieniającą się w różnych okresach, lecz w istocie sprowadzającą się zawsze do walki klasowej między niewolnikami, a panami. Pozna kulturę rzymską: technikę, naukę, religię, sztukę i literaturę. Pozna różne sfery działalności zarówno Rzymian jak i mieszkańców prowincji, wolnych i niewolników, obywateli pełnoprawnych lub mieszkańców Italii i prowincji rzymskich, pozbawionych praw politycznych, pozna je w ścisłym powiązaniu z sobą i we wzajemnym uzależnieniu. Zro-

WYDAWNICTWO MINISTERSTWA OBRONY NARODOWEJ

W 25 ROCZNICĘ ŚMIERCI

Feliksa Dzierżyńskiego

ukazały się:

FELIKS DZIERŻYŃSKI — WIELKI SYN NARODU POLSKIEGO (Wydawnictwo ilustrowane)

Aleksander Zatorski — O FELIKSIE DZIERŻYŃSKIM

Leopold Lewin — POEMAT O FELIKSIE DZIERŻYŃSKIM

Wkrótce ukaże się:

Wydawnictwo świetlicowe o Feliksie Dzierżyńskim.

K 1206-0

IZYDOR PŁASZCZEK

CZERWONY DOM

(fragment powieści)

W Bukówce chaty stały inaczej niż w wioskach sąsiednich, gdzie piętrzyły się przeważnie przy szosach, wystawione na błotnie i kurz. Pobudowane były swobodnie, luźno, a tylko na samym końcu wsi trzymały się z sobą w łańcuchu.

Rosły wśród nich grusze, płonki, winie, pyszniły się jarzębiny, szumiały korony wysokich topoli.

Na brzegach ponurych wąwozów panowały wielkie, wiekowe dęby. Nikt nie powie przez kogo sadzone, nikt nie zliczy ich lat.

Tu-tam były doliny, rowy, w rowach maliny, dalej zagony pól, za polami kudłaty las.

Patrzac w stronę Gliwic, widać było się stoki śląskich hałd i kominy kopalni.

Szeroka, asfaltowa szosa, przecinając pola, biegła w stronę stolicy Górnego Śląska — Katowic. Z szosą biegiły telegraficzne słupy, wiecznie mruczące i grające jak chmary szerszeni. Tuż za miejscowością rozlegały się posiadłości dawnych pruskich von Windheimów, baronów Łukasów, później polskich panów dziedziców Albinowskich, Majchrzakowskich. Znowy ich, nadęte pęchą jak krowy kończyły, wychodziły na pole i podparły mięsiste boki, przylgały się pracującym wyrobnikom.

Przez wioskę, zwłaszcza w piękne dni lata, przejeżdżali różni panowie Bryczkami, karetami, samochodami. Niektórzy z nich zatrzymywali się przed rozłożystą gospodą, pili piwo, palili cygara, druzdów podziwiali pola, łąki, lasy.

— Wioska cudna jak marzenie! — wołali z zachwytem.

— Toć cudno, ale jakby tu mieli robić i biedować, toby nie godali, że cudno, pierony jedne — zaklął Kopeczak.

Dla niego nie była ona taka cudna. Nie nastrajała go do marzenia, lecz do walki. Żyjąc w biedzie i nędzy, dorabiając się ciężko na krajelek suchego chleba, wiedział, co to znaczy żyć na wsi, gdzie bogaty wykorzystuje ubożego, gdzie rzadzi pleban, kułak i pan. Pracując mozolnie w podziemiach kopalni, przychodził do swej wioski zmęczony, słaby. Odpoczywał. Lecz wiedział, co się w niej działo. Jeśli wszystkiego nie dostrzegał, powiadała mu jego żona. Była czujna, czy i uszy miała otwarte.

Po wsi chodził niejaki Koron. Chłop stary, siwy, zgarbiony. Podpierając się skątkim kosturem, przysiadł tu-tam i wspominał czasy sprzed pierwszej wojny. Bajał dzieciom, bo je najbardziej lubił, że pan baron jeździł zawsze czwórka najpiękniejszych koni.

— Czemu, dziadku, czy on był taki ciężki? — pytały.

— Nie, to z pychy, moje dzieci, z pychy — odpowiadał, oglądając się wokół, jakby się bał. Gdy się popatrzyło w jego oczy, zdawało się, że jeszcze widzi ową czwórkę barona Łukasza.

Najwięcej życia płynęło tu od strony Orzesza. Nadciągali strudzeni zebrańcy, znachorzy, zajeżdżali krzykliwi Cyganie, zjawiali się masażerze. Cyganie mieli czarne i dzikie gęby, i robiąc patnicze miny patrzyli, co by ukrąśli; masażerze o twarzach nadętych jak bębny wołali na całe gardło, że chcą kupić wieprze, krowy, cielęta.

— Na sprzedaż, macie tam co? — pytał to kobietę, to dzieci i znów wołali: — Hoop, ciela hoop!!! Wołali głośno, jakby całą wieś chcieli zapląszyć.

— Wreszcie gizdy diobli, a jak człowiek chce im co sprzedać, to by za darmo chcieli — odezwiała się Kopeczkówna do sąsiadki Cyroniowej.

— Mosz prawie, skóra był z blednego zdarli — rzekła zagadnięta.

We wsi stały różne świętości. Z lasu, z drzewa, z blachy. Przy chaty, jakby na przestrożę, stały wysokie, chude krzyże, niedaleko starej Marty Jurkowej bielili się marmiarska kaplica, jeszcze indziej patrzyła się gipsowa figura, podobna do świętej Jadwigi.

Przez rozległe łąki, haftowane w kęsy, płynęły rzeczulki. Prosto, wezwowało, jak które chciały. Zabierały z sobą suche liście leśnych, lekkie owoc olchy, krucho, kamienie, gałazki. Zawadziąc o kamienie, rzeczulki pieniły się w wielkie, parskały głośnie i płynęły dalej.

W wieczorne i nocne chwile wieś stawiała się jak gdyby inna. Można było wsłuchiwać w poszumy lub patrzeć się w krzywą twarz katechizy. Można było marzyć lub po prostu — spać.

W Bukówce, jak w każdej innej wsi, żyli bogaci i ubodzy. Pierwocześni zwanym panom, drugich z chłopskimi. Pierwsi malowali swoje chaty na biało, drudzy budowali przeważnie czerwone.

W dniu wielkich, hucznych jarzanków, kiermaszów lub tygodniowych targów, bogacie jeździło do miasta i kupowali drogie towary, utargowali jakąś lichą rzecz, i grzyząc zabrane z sobą sucho, chleb kroczyli z powrotem pieboko wygrzybnymi koleinami, szli wąskimi, rozczochranymi międzami, przelał przez puste pola. Za nimi, na samym końcu, wlokła

się zwykle stara Węgrzyczka. Pewnego razu zatrzymała się przy młodych Kopeczkach, którzy rozbiłali starą chacinę. Zakaszła, podeszła bliżej.

— Przeca w tej chatupie możecie niejedną dzień posiedzieć, aż posiedzieć — rzekła.

— A czyście dziwni, nie widzicie, że już ledwie co dycho? — odpowiedziała Kopeczkówna.

Węgrzyczka, jakby nie dowierając Kopeczkównę, obezła chatupę z drugiej strony, popatrzyła tu-tam i potakiwała głową.

— Mocie i prawie, że już ledwo dycho. Terozki dopiero wnet zaważać może — gadała. Chwilę jeszcze postąla, jakby dla odpoczynku, i zakaszawszy szła.

— Baba widać nie głupio — zauważyła Kopeczkówna.

— Mądrzejszo od ciebie — burknął Kopeczak i schwytywszy siekierę jął dalej rozluźniać próchniejące już belki starej chaty. Był to chłop normalnego wzrostu, włosy układał w przedziałkę, oczy miał wielkie, wargi grube, twarz ziemista. Śmiał się rzadko, był pewny siebie. Pracował na kopalni jako rebacz.

Kopeczkówna była kobietą szczupłą i gibką. Główną kłębiła to w lewo, to w prawo jak wystraszona łasica, oczy miała wielkie, bystre, nos prosty, usta wąskie, zaciete. I tak we dwoje rozbiłali starą

chatę, niby strażnicy, sterczały dwa czworokątne kominy, lecz dym ulatniał się tylko z jednego i nie wiadomo było, po co wybudowano dwa. Może tylko tak, dla ozdoby. Dom wyglądał ubogo. Okna miał proste, małe, wejście wąskie, próg niski, zrobiony z nieokrzesanych desek. Z jednej strony ogrodzono go niskim płotem, z drugiej brak płotu umożliwiał podkradanie się pod ściany różnym niedobrym lub ciekawym ludziskom.

Miał wielką kuchnię i dwie małe izby. W kuchni, wzdłuż ściany, stało żółte łóżko, trochę dalej szeroki kredens, jedna długa ławka, a pod same okno wepchnięto stół z dwoma stołkami. Na samym środku była kolebka z niemowlęciem. Kopeczkówna co chwilę kolebała, a kolebka pisała i trzeszczała jak wózki z węglem. Na ścianie zawieszono obrazy świętych.

Na najbardziej widocznym miejscu Kopeczkówna zawiesiła stary zegar o lekkim wahadle i o długich łańcuszkach z ciężarkami. Przyniosła go wraz z posagiem. Cóż, kiedy zawsze szedł źle. To przystanął i odpoczywał jak pielgrzym po męczącej wędrówce, to — pchnięty ręką — szedł nerwowo, niespokojnie, jak życie buntujących się ludzi. W niedzielne popołudnie, gdy w czerwonym domu było nieco spokojniej niż w inne dni, dzieci chodziły bliżej zegara i wsłuchiwały się w jego monotonne tyka-



rys. Marek Rudnicki

chatę, którą Kopeczak dostał w spadku po swych rodzicach. Do niej rzucili mu jeszcze dwa hektary chudego pola i mają trójką jądowej łąki. Kopeczkówna też przyniosła jakiś posag. Mając więc trochę pieniędzy, postanowili wybudować sobie nowy dom. Miał stanąć na miejscu starej chaty, lecz Kopeczkówna była temu przeciwna. Mówiła, że plac za wilgotny, spleśniały, że nie do dobrze jest budować na starym miejscu. Kopeczak natomiast gdzie indziej budować nie chciał.

— Tam zbudujemy, kaj stała chatka moich rodziców — rzekł. I pozostało tak, jak chciał. — A co do murarza — ciągnął dalej — to trza bydzie postać po Dybały. Muruje pono najlepiej.

— Przydałoby się dwóch abo trzech, ale czy to styknie ich zapłacić? — wtrąciła się Kopeczkówna.

— Wiem, ale musimy se dać rady z jednym, jak nie idzie inaczej.

Kupili wapno, cegły, drzewo, przygotowali narzędzia. Kopeczak dostał tydzień urlopu i zaraz na drugi dzień, nim zapiał kogut, zaczął wyrzucać grunta, kopać studnię, rozrabiać wapno. Przyszedł murarz, przysła Kopeczkówna i pomagali. Nosili cegły, maltę, budowali.

— No, jakże tam, robota idzie? — pytał ten i ów z przechodniów, patrząc na Kopeczaków.

— Idzie w pierony! — odrzekł Kopeczak, pracując jakby na wyścigi.

— Boże pomogę! — wołały przechodzące baby. Kazały pomagać Bogu i szyć.

Pamponie niechętnym okiem spoglądali na budowę domu.

— We dwójkę, z jednym murarzem. będą gotowi na święty nigdy — drwili.

— Patrzaj pierony, jakby ludzi nie widzieli! — zaklął Kopeczak. Nie wiele się zrażał ich docinkami. Pośpieszył im udowodnić, że do siebie radę. Gdy skończył mu się urlop, budował po szychcie. Pracował bez wytchnienia. W nocy na kopalni, w dzień na budowie.

Dom rósł. Wyżej, coraz wyżej, jak na drożdżach. Pewnego poranka Kopeczak wspiął się na sam wierzch budowli i w jednym z jej rogów zatknął mały, czubiasty świerk, tak zwaną wiechę, z papierowymi, różnobarwnymi wstążkami. Wstążki targane wicherem, chwaliły dzieło biednych ludzi, fukotały radośnie, głośno, jak zwycięskie chorągwie.

Zbudowali dach, pokryli go połączkami szorstkiej papy i spoczęli. Dom był gotowy. Kopeczakowie radowali się jak dzieci.

— Jak to dobrze mieć własny kąt i własny dach nad głową — westchnęła Kopeczkówna.

— A jużci, już się człowiek nie potrzebuje poniewierać po cudzych progiach — potwierdził Kopeczak.

Dom był czerwony. Na jego da-

nie. Słuchały, a wahadło chodziło tam i sam, tam i sam.

— Mamo, czemu ten zegar tak gada? — tiki, tak tiki, tak? — pytała go od małego dziewczynka.

— A widzicie, on godo, dycko, nigdy, dycko, nigdy...

— A czemu godo dycko, nigdy?

— Bo jak kto przyjdzie do piekła, to dycko w nim będzie i nigdy nie wyjdzie — powiadała patrząc na dzieci z nabożną miną.

Dzieci potem spoglądały na zegar, jak na coś nie z tego świata. Nieraz jeszcze, po cichu, powtarzały za nim: dycki nigdy... — i myślały o piekle.

Izby domu umeblowane były ubogo. Liche szafy bardzo pisały, gdy je otwierano, stół był brązowy, krzesła blade-żółte. Łóżka były staromodne, pierzyny na nich wyglądały jak wielbłądzie garby.

Okna izb zaciemniały tanie, ceglaste firany, to znów od zewnątrz widlaste łodygi winogron.

Kopeczakowie założyli sobie ogródek. Pod płotem posadzili barwinkę o metalowo lśniących liściach, rozłożyli rdest i jedną chudą różę, o którą były sprzeczki.

— Przeca musi być prawdziwo, skoro tak pięknie kwitnie — upierała się Kopeczkówna.

— Kaj tam prawdziwa, nie widzisz, że jest pusto — zaprzeczał Kopeczak. Macał, wachał i czuł, że w dotyku była trochę lepka i miękka, w zapachu przyjemna.

W ogródku rosły jeszcze narcyz, piwonie i gęste krzaczki mięt. Narcyz zakwitł już w pierwszych dniach marca i miał zapach orzeźwiający, piwonie dopiero w czerwcu i kwitły czerwono.

Grządkę w ogródku Kopeczkówna uprawiała sama i siała na dnie drobne nasiona warzyw. Robiła to zawsze na św. Józefa i zawsze się bała, że nasiona mogą zmarnieć na trzech świętych mroźnych. Owi święci, jak się nieraz przekonała, nie zawsze byli zgodni ze św. Józefem.

ROMAN BRATNY

L I S T

Jak bukiecika fiołków
Ciebie dotknęłam ustami.
O wiosno, dawna wiosno!
pod iluż leżysz śniegami?

Gdzie płatki śniegu przez rzęsy
Twoje do ziemi lecące,
gdzie kwiaty, które powiedły,
gdzie wszystko, co już minione?

Leż między nami ziemi,
jaka przestrzeń leży odległości!
Nie mogę ujarzmić pamięci
— nie mogę.

Twój uśmiech wspominany
z jakiej ogromnej leci odległości.
Wszystkiego żal mi,
nawet smutku, nawet zazdrości.

Tu płatki śniegu spadanie
błache i wieczne.
Gdzie Twego serca bicie? —
gdzie to przekomarzanie
chorego ciała ze śmiercią?

To jest miłość: taka harmonia,
że uśmiech się z placem kołysze
i taka wielka tęsknota,
że pióro po sercu pisze.

ARNOLD ŚLUCKI

PIEŚŃ O PRZYJAŹNI

Pod Stalingradem jest ziemia czarna,
żeby ziemię czarną spulchnić,
żeby rosły słoneczniki,
by w stepie toczyło się ziarno
za frontową dymiącą kuchnią —
moje ręce nieprzwykłe
zgrabiały, niczym ziemia twarda.
Smakował partyzancki
razowy chleb w oleju,
na ziemi obcej i bliskiej,
w nadwołżańskich lejach —
Dzisiaj odbłask tej ziemi
widzę tutaj. Nad Wisłą .

*

Szło stepami wojsko
po śniegach zamarzłych i śliskich.
Żołnierską łopatką na ziemi rosyjskiej
pierwsze wiersze pisałem po polsku.

*

Za Taszkientem ziemia jest biała,
bawełny kwiat srebrny i sypki.
Nadażały za urodzajem
czarnych dziewcząt palce szybkie.
Śpiewały pieśni wojenne
w polu dziewczęta smagłe,
i Aliszeru pieśni dawne
o miłości i przyjaźni.
Zaniosłem ich pozdrowienia,
słowa o zapachu brzoskwiń,
mężom i narzeczonym,
gdy w kaskach przestrzelonych
za nasze miasta ginęli i wioski.

*

Ziemio, ziemio Lenina,
Ziemio, ziemio Stalina,
Puszkina i Nawoi,
ziemio, ziemio pokoju,
urodzajów, rzek przezroczystych,
turbiny, szumiących kanałów,
robotników i traktorzystów.
Kto wczoraj broń do ręki
dał nam z uralskiej stali,
robotników uczył budować
i szybciej skrawać metale.
Ziemio, ziemio czysta,
nad ojczyzną, wiosenną blisko, nadejść
Kiedy nad Polską tęcza
po majowym wschodzie deszczu
nad spółdzielczymi polami,
nad miastami nie ostygłymi jeszcze,
gdą światło strumieniem uderza
w miasta smukające wieże —
w świata wierzę młodość,
w ludów braterskie przymierze,
w przyjaźń, w radość ufna,
w prężność wschodzących płodów,
w Stalina słoneczny uśmiech,
który nie zgaśnie na twarzy narodów.

BALLADA O POLOWEJ DRUKARNI

Na front za dywizją szła gazetka-towarzysz.
Dobrze gdy żołnierz z żołnierzem pogwarzy —

Trzej zecerzy siedzą w aucie polowym,
Nad kasztami nisko pochylają głowy.

Pierwszy był dawniej w majątku parobkiem,
Dziś służy w wojsku robotniczo-chłopskim.

Rękawem czcionki ociera żołnierz,
Błyska nadzieja biedocie bezrolnej.

Drugi w wyblakłym drelichu pomietym
Był robotnikiem, strajkują pamięta —

Zaułek podmiejski, kasztany bezlistne,
Krzyki bezdomnych nad usypiskiem.

Czcionka do czcionki niech przylgnie ciasniej,
Będzie w Ojczyźnie piękniej i jaśnie.

Trzeci na palcu ma czarny naparstek,
Przed wojną był pomocnikiem drukarskim.

Broszury składał w tajnej drukarni,
Dziś jest zecerem Ludowej Armii.

Płonie nad autem niebo lipcowe,
Dymią na polach kuchnie polowe.

Na front za dywizją szła gazetka — towarzysz,
Wysoko nad frontem słońce na straż.

STANISŁAW MARCZAK-OBORSKI

Dwie sztuki o Warszawie w teatrze krakowskim

KRAKÓW — WARSZAWIE

Dwa utwory sceniczne dwu pisarzy: „Wczoraj i przedwczoraj” Aleksandra Malszewskiego i „Tysiąc walecznych” Jana Rojewskiego — łączy jedna cecha.

Wspólna ich bohaterka jest Warszawa. Ale nie tylko to. Obie sztuki są bardzo „warszawskie”; obie w sposób lekkiej, często żartobliwej, mówią o patosie powstającej z gruzów ludowej Stolicy, o trudnym nierzad dojrzeniu człowieczym jej budowniczym.

Z dwoma przedstawieniami tych właśnie utworów przyjechał do Warszawy na finał Festiwalu Polskich Sztuk Współczesnych Teatr Krakowski.

Ojca grywaną była w uproszczonym wiechowsko-walterowskim stylu (np. w Olsztynie), albo wręcz z fałszywą krępałką popartą gestem „cholerowaniem” (w Poznaniu). Burnatowicz stworzył realistyczną postać starego murarza, dał jej dużo pogody i ani krzty trywialności. Jana grał na premierze krakowskiej Zygmunta Kęstowicza bez psychologizowania, ale z werwą, humorem i wdziękiem; przekonał wszystkich, że o tego człowieka warto walczyć. Jerzy Kaliszewski — wykonawca roli na pokazie warszawskim — ujął ją zbyt już nerwowo. Wprowadzało to do przedstawienia pewną zbędną nutkę dramatyzmu i odbijało się na grze partnerów; podkreślało niepotrzebny ponurej Matki (Jadwiga Zmijewska), tragi-zowanie Wandy (przesadna gra o-

ry w warszawskim Teatrze Narodowym, dyskutując problematykę i stronę literacką utworu. W tym miejscu ograniczamy się przeto do spraw scenicznych.

Sztuka Rojewskiego, wystawiona dotychczas przez pięć teatrów (poza warszawskim i krakowskim — przedstawienia we Wrocławiu, Jeleniej Górze i Łodzi), jest właściwie reportażem scenicznym. Przedstawia budowę osiedla robotniczego w Warszawie w krótkich migawkowych obrazach toku pracy, współzawodnictwa, narad zalogi, szczegółów produkcyjnych, wypadków i konfliktów ludzkich. Człowiek pokazany jest tu również na zasadzie migawki psychologicznej. Autor czasem pogłębił jednym rysem tę czy ową postać, ale w żadnym wypadku nie kusi się o portret; chodzi mu wyraźnie o plastykę całego obrazu. Nad wszystkim zaś unosi się nastrój pośpiechu, owego cudownego tempa pracy warszawskich ludzi, którzy wiedzą, jak bardzo i jak pilnie potrzebny jest im wysiłek.

Dłatego mniej słuszną wydaje się linia inscenizacji warszawskiej, usiłująca „ukameralnić” sztukę, za wszelką cenę pogłębić postacie, poszczególnym scenom nadać większą wagę niż miały one w tekście. W efekcie przedstawienie było ciężkie i nużące, do czego przyczyniły się jeszcze rozbudowania dialogów i sytuacji, niewiele wnoszące istotnego, a rozwlekające sztukę. Dla kontrastu niektóre figury pokazano farsowo, co znowu rozbijało charakter całości (przerysowany Fratek i Synowiec; rozmowa matek; scena, kiedy dwaj starzy majstrowie oglądają suwak jak Murzyni pociarki w dawnych powieściach). Jeszcze dalej w kierunku niepotrzebnego ufarsowania szło przedstawienie w Jeleniej Górze.

Inscenizacja Henryka Sztefkińskiego w teatrze krakowskim poszła po właściwej, jak się wydaje, linii wydobycia maksimum dynamizmu i pogody scen na budowie. Spektakl miał przy tym swoją przemysłową, wyraźną kompozycję. Otwierała go niema, spokojna scena nad ranem przed rozpoczęciem pracy; potem tempo i nastrój narastał, osiągał szczyt barwności i bogactwa w scenie zebrania, szczyt napięcia w doskonale wytrzymanym momencie obciążania stropu; na zakończenie stonowana, cicha rozmowa o przyszłości Warszawy dwójki starych ludzi: profesora politechniki i matki robotnika. Ładny i niebanalny epizod.



„Tysiąc walecznych” Jana Rojewskiego w teatrze im. J. Słowackiego w Krakowie

zycję plastyczną, nie czuło się, że tu mieszkają ludzie (sztucznie poplamiona linia architektoniczna, nieprawdopodobne drzwi na tylnych schodach, vis-à-vis wejścia głównego). Dekoracja miała dużą kulturę kolorystyczną i piękne kontrasty barwne, ale miała też szczególne „ozdob-karskie” (np. fantastycznie upięta jak na dom proletariacki seledynowa firanka w I akcie). Widok za oknem bardzo „nie-warszawski”; stylizowany na wzór rysunków dziecka obraz ruin w II akcie wręcz fałszywy artystycznie. Na dobro ambicji Kantora zapiszmy, iż w akcie czwartym odrzucił ograny chwyt panoramy trasy W-Z za oknem i ograniczył się do zapalenia świateł Pragi.

Reasumując: spektakl krakowski był może mniej pomysłowy i logiczny w rozwiązaniach sytuacyjnych od olsztyńskiego, może zbyt różnicował postaci intelektualnych dzieci i robotniczych rodziców — ale dzięki wyjątkowo starannemu opracowaniu tekstu, dzięki klarownemu i potocznemu wyrazistemu podaniu dialogu i dobrej robocie aktorskiej — w sumie uznany być musi za najlepsze z dotychczasowych przedstawień „Wczoraj i przedwczoraj”.

JAK WARSZAWA — TO JUŻ TEMPO

„Tysiąc walecznych” omawiał szczerze w „Nowej Kulturze” Adolf Sowiński przy okazji premier-

jako reakcjonista i złodziej Synowiec; Tadeusz Burnatowicz, który uprawdopodobnił postać sekretarza partyjnego wyrażenia zaniebdaną przez autora; Janina Ordeżanka — w ciepło zagraną rolę Przybojewskiej.

Ze wzbudzającej sprzeciw kół po piórze figury literata Halnego złożyła, ale opartą na jakiejś koncepcji aktorskiej. Kazimierz Witkiewicz w Krakowie był w tej roli po prostu bezbarwny. Podobnie Marian Stojkowski, niako grał inżyniera Bocheńskiego, nie wydobyl treści z ważnej rozmowy ostatniego obrazu, kiedy to inżynier zdaje sobie sprawę z faktu, że jego opory i wahania popchnęły Synowca do przestępstwa, umożliwiły mu sabotaż.

Pomimo kilku słabszych ról bohaterem przedstawienia krakowskiego był zespół. W ostatecznym wyniku grała i przekonywała całość obrazu.

Dekoracja Bolesława Kamykowskiego, ciekawie rozbudowana, w dyskretny sposób łączyła elementy wczorajszej Warszawy ruin z dzisiejszą — powstającą. Obarczyła ją niepotrzebnie błędne szczegóły: afisz teatru krakowskiego wiszący na stołecznej budowie; zastęgi, grubo modelowane chorągiewki.

Efekty dźwiękowe bardzo starannie i trafnie przygotowane przez Wacława Hemaczka.

CZEKAMY NA NOWĄ HUTĘ

Teatry krakowskie miały swój wykształcony od lat, akademizujący i dostojny styl, który Zoile nazywali zastęgiem. Jeśli czasem następowało przebudzenie, to raczej przy jakiejś próbie nowej inscenizacji klasycznego repertuaru; moc elektryzującą posiadały wyłącznie niektóre stare sztuki. Utwory współczesne grywały się wedle ustalonej manieri, w myśl dawno rozdanych ról. Toż nowy treścior repertuar nie odnosił sukcesów artystycznych, że wspomnę jeszcze „Inżyniera Sabe”.

Dzisiaj pod miastem powstaje Nowa Huta. Świeży wiatr powiał przez Kraków, wtargnął także do teatru. Przedstawienia „Brygady szlifierza Karhana” i obecnie „Tysiąc walecznych” są radosną, twórczą, ożywczą nowością na scenie Pawlikowskiego i Osterwy.

Pierwsze kroki zostały szczęśliwie postawione. Pamiętajmy jednak, że praca nad naszym repertuarem współczesnym nie zakończyła się po rozdaniu nagród festiwalowych. Czekamy na sztukę o ludziach budujących socjalizm pod Krakowem. Chcemy zobaczyć ją również w teatrach warszawskich — Krakowowi należy się rewanz. Oczywiście sztukę taką trzeba najpierw napisać. A więc zapraszamy dramatopisarzy do Nowej Huty.

Stanisław Marczak-Oborski

BOGDAN BUTRYŃCZUK

HUMOREK UŁATWIONY

Bieżące jest znaczenie Festiwalu Polskich Sztuk Współczesnych dla rozwoju naszej twórczości dramatycznej, dla kształtowania się ideowego i artystycznego oblicza naszego teatru, dla wielkiej sprawy wychowania nowego człowieka. Odbija się to nawet w rzeczach drobnych. Porównajmy choćby zainteresowanie teatrem i nasilenie pracy w samym teatrze w letnich miesiącach poprzednich lat z rokiem bieżącym. Czy kiedykolwiek była do pomyślenia organizacja tego typu imprezy kulturalnej, trwającej okragły rok, z jej punktem kulminacyjnym w sezonie... ogórkowym? Nawet szumne wywiady o nowopozyskanych „gwiazdach” i nigdy nie realizowane obietnice chowano na wrzesień. Do niedawna wystawienie współczesnej sztuki problemowej, zwłaszcza polskiego pisarza, było dla dyrekcji teatru uciążliwym serwitutem, a w budżecie teatralnym figurowało jako pozycja deficytowa, którą trzeba było zagrać dla „honoru domu”. Pojęcia i gusty mieszczańskie długo ciążyły nad teatrem, zanim zostały wyparte w zaciętej walce, przebiegającej i obecnie przez wszystkie linie frontu kultury narodowej.

A dziś? Nie ma potrzeby gubić się w domysłach — wystarczy przejrzeć repertuar teatrów, zając miejsce w przepelnionej sali, posłuchać gorących dyskusji w antraktach.

Tym dosadniej występują pewne błędy, zwłaszcza te, którym można było zapobiec, błędy, które nie zawierają twórczego ziarna, błędy, nie usprawiedliwione nawet tym, aby stać się mogły źródłem doświadczeń.

Nie wiedzieć czemu, właśnie „Milionowemu jasku” Marka Domańskiego przypadł w udziale honor reprezentowania w Festiwalu współczesnej komedii — honor wielki, zadanie zaszczytne, lecz zbyt trudne i ciężkie jak na waltulit dowiepysanej z palca historyjki, której szarą przetrzała nie tylko granice logiki artystycznej, ale wprost przeczy zdrowemu rozsądkowi.*).

Czy naprawdę nie dało się uniknąć drastycznego przypomnienia, że niegdyś w lipcu przypadało krytyczne nasilenie sezonu ogórkowego? Oto początek wątpliwości. Czy nie ma tu jakiegoś nieporozumienia? Czy naprawdę sztuka jest aż tak niedobra, że stała się symptomem, który określa reżymowy stan choroby domagający się aż pokazu i teatralnej analizy? Wątpliwości rosną. A jury konkursu? A komisje? Może to teatr zniekształcił utwór literacki, zabijając wszystkie jego wartości? Dlaczego w takim razie negatywny sąd o tej sztuce poddanej próbie dyskusji na zebraniu Sekcji Dramatu ZLP w tym samym dniu, w którym teatr „Nowy” wziął ją w próby, zyskał całkowitą aprobatę audytorium? Na dyskusji tej obecni byli przedstawiciele Generalnej Dyrekcji TOF, członkowie jury konkursowego, spora część zespołu Teatru Nowego i autor, który przyjął wszystkie zarzuty, nie zajmując wobec nich —

*) Państw. Teatr Nowy w Warszawie. Marek Domański „Milionowe jasku”, wodevil w trzech aktach. Muzyka Stanisława Dziegielewskiego. Inscenizacja i reżyseria: Eugeniusz Poreda. Choreografia: Eugeniusz Wojnar. Dekoracja i kostiumy: Jan Hawrykiewicz.

W STRONĘ PIASTÓW

(Dokończenie ze str. 8-ej)

tylko doraźnymi notatkami chwili. „Pędzą. W stadzie. Krowy, woły, ludzie, świni. Nogi się potykają. Bydło gniecie, przerażone, oszalone. Biją baty z surowca. Jęk. Idą. Wyboiny. Kamienie. Bloki. Ból. Pragnienie. Rozpacz. Obłąd”. Stąd silne zabarwienie emocjonalne. Wszystko nastawione jest na najwyższy ton: tu się nie je i nie cierpi, ale od razu żre i skowyt z bólu. I wszystko jest dopuszczalne, bo uzasadnione prymitywizmem ludzi, w których imieniu przemawia narrator współczesny. Uchodzą więc aforyzmy w rodzaju: „Życie jest porwyem żądzy, porwyem dżicy, odruchem i szpazmem. Jest wam. Jest kłopotliwa czarna smola”; porównania z gatunkami: „Przelotny uśmiech, jak westchnienie czarownego zwiudu”; zdania w guście: „W porwyem miłości uniosła ramiona i zwolna odwróciła głowę w namietnej żądzy spojrzenia w ponure oczy widma” lub „wokół wyla rozpacz, rosło zwątpienie, szeptał lęk”. Dopuszczalne jest bombastyczne prymitywizowanie, nie wykraczające poza sferę zwykłej tautologii i balladowej zgola poetyki grozy romantycznej (tylko traktowanej bardziej serio), jak obseksja paru epitetów: „dziki i straszny”, „namienny i gwałtowny”, „gwałtowny i ślepy”, jak bezsensowny ciąg określeń w zdaniu: „Przelewał się po całej puszczy (wilczy gon) tajemniczy i wrogi, namienny i straszny”. Dopuszczalne jest nieustanne angażowanie sił przyrody, wichrów i fal, które tak są oswojone z człowiekiem, że wiedzą, kiedy akompaniować jego uczuciom łagodnym szumem, a kiedy przeraźliwym wyciem.

Trzeci tom cyklu Gołubiewa — „Zle dni” przynosi pewne przesunięcia tematyczne. Znika tu wielka cywilizacyjna problematyka kształtowania się nowego społeczeństwa i zagadnienie przełomu kulturalnego. Punkt ciężkości analizy pisarskiej przesunął się na powierzchnię polityki i dyplomacji.

To ograniczenie problematyki — w ramach przyjętych założeń — wychodzi warsztatowi pisarskiemu Gołubiewa na dobre. Widome zmalały gruzy i narosły stylizacyjne, które były skutkiem ekspresjonistycznej pretensjonalności. Proza pobawiona została w znacznej mierze lirycznej zupki, uzyskała bardziej spokojny i równy oddech, stała się dojrzała i bardziej rzeczowa, jakby dojrzała. Doszły do głosu lepsze tradycje. Cykl Gołubiewa steruje, jak się zdaje, ku starym, solidnym i niezawodnym wzorom, jakie w powieści historycznej stworzył Józef Ignacy Kraszewski.

Ludwik Flaszen

(Dokończenie na str. 11e)

*) Wedle jego wypowiedzi w miesięczniku „Teatr” nr 1 z bieżącego roku.

